№. 2. Poznań, dnia 8 Października 1871. Rok I.

Kosztuje
w miejscu 15 sgr.
na prowincyi
18 sgr. 9 fen. kwart.

PROMYK.

TYGODNIK DLA DZIECI.

Prenumeratę
przyjmują wszystkie
księgarnie
i urzędy pocztowe.

Redakcya przy ulicy Fryderykowskiej Nr. 27.

Biedni.

O jakże bujne pól naszych plony,
Jakże ich widok duszę zachwyca!
Tu jęczmień, żyto, a z tamtéj strony,
Złocistym kłosem szumi przenica!
Zabrzękną sierpy i plenna gleba,
Dla wszystkich ludzi dostarczy chleba! —
Dla wszystkich?... nie wiem... są pono biedni,
Którzy nie mają na chleb powszedni!

U nas owieczki puszą się wełną,
Len i konopie kwitną radośnie,
I jedwabniczych kokonów pełno,
A znów gdzieindziéj bawełna rośnie;
Jak z tego przemysł nitek naprzędzie,
Dla wszystkich ludzi ubranie będzie!
Dla wszystkich?... nie wiem... choć zima bieży,
Są biedni, którym braknie odzieży!

Naturo! wzorze najtkliwszéj matki,
Twe dobrodziejstwa jakże rozległe!
Ty na pałace, dworki i chatki,
Dajesz marmury, drzewo i cegłę;
Ileż z nich schronień wygodnych stanie,
Dla wszystkich ludzi będzie mieszkanie!
Dla wszystkich?... nie wiem... och! bez wątpienia,
Są biedni, którym braknie schronienia!

Co na budowę niezdatne w lesie,
To nas od zimna ochroni w mrozy;
Wieśniak do chaty chróstu naniesie,
Miasta zakupią drew pełne wozy;
Żartujem z ciebie zimo zakrzepła,
Dla wszyskich ludzi wystarczy ciepła!
Dla wszystkich?... nie wiem... och! dziatwo miła,
Iluż mróz biednych do grobu zsyła!

Dziateczki! w główek młodzieńczych trudzie,
Pomyśleć o tém i na was koléj...
Bóg wiele daje... Ale czy ludzie
Dobrze spełniają głos Jego woli?
Wszak co On dłonią śle dobroczynną,
Dla wszystkich w równi starczyć powinno....
Dla wszystkich!... jednak żal pierś kaleczy,
Są biedni, którym brak tylu rzeczy!

J. Chęciński.

BOZIA,

Kartka z życia Wicusia,

przez

Wołodego Skibę.

(Dokończenie.)

Tydzień ubiegł od téj rozmowy, nie przypominałem Wicusiowi zadanego pytania i byłem pewny nawet, że o niém zapomniał.

Dowiedziałem się późniéj od samego Wicusia, że byłem w błędzie. Żadna jeszcze zagadka tak nie zastanowiła jego młodocianego umysłu, jak ta, którą mu zadałem. Co chwila nasuwała się ona jego myśli, ale rozwiązać jéj na żaden sposób nie potrafił.

Zawsze jedno i to samo roiło mu się po główce:

— Bozia jest wszędzie, a więc jest i we mnie, ale gdyby była we mnie, tobym to przecież jakoś wiedział i poczuł, a ja tego wcale nie czuję... Jak co myślę, to wiém że ja myślę, a jak co robię, to wiem że ja robię, jak mnie co boli, to boli tylko mnie, a jak mnie pochwalą, to ja tylko jestem szczęśliwy... po czémże poznać, czy Bozia jest we mnie?...

Kiedy tak Wicuś myślał i nic wymyślić nie mógł, nadeszły jego imieniny. Nie wiem co na wiązanie dostał od rodziców, słyszałam tylko, że mu ojciec przyniósł pudełko, a w tém pudełku były ślicznie wystrugane kawałki drzewa, z których można było stawiać na stole najrozmaitsze domy i pałace; — opowiadano mi także, że od mamy dostał ładną jak cacko książeczkę, na któréj miano mu późniéj pokazywać wszystkie litery, ile ich potrzeba, żeby złożyć i napisać, co tylko człowiek powie albo pomyśli. Ja chciałem także upamiętnić ten dzień Wicusiowi, i przyniosłem mu paczkę najnajładniejszych cukierków, jakich mogłem dostać u pana Sobeskiego w Poznaniu.

Oddałem mu te cukierki wieczorem, kiedy dużo gości było w salonie, i kiedy Wicuś już się dosyć nacieszył swojém budownictwem i książeczką.

Cukierki rzecz łakoma, nawet dla tak „szczególnych“ dzieci jak Wicuś, to też mój mały filozof, rozmyślający po kilka razy na dzień nad, tém czy Bozia jest w nim, czy jéj niema, zabrał się zaraz do nich, ale jako grzeczne i dobrze wychowane dziecko, nie myślał ich zjeść sam, tylko zwołał swoje dwie siostrzyczki i braciszka, ażeby się z nidmi podzielić.

Najpierwsza przybiegła mała siostrzyczka Brońcia. Wicuś dał jéj pięć cukierków, a potem młodszemu od siebie braciszkowi, Jasiowi, także pięć.

Nie wypadało skrzywdzić najstarszéj z rodzeństwa Helenki, więc i dla niéj Wicuś pięć cukierków odliczył.

Po obdzieleniu wszystkich pozostały dla niego tylko dwa cukierki.

Mama Wicusia przypatrywała się temu podziałowi, i widząc, że tak hojnie uczęstował brata i siostry, zaczęła go ściskać i całować.

— Masz poczciwie serce Wicusiu, — mówiła do niego, — jesteś grzeczne i dobre dziecko... lubisz się dzielić z bratem i siostrzyczkami, obdarzasz ich nawet z własną krzywdą.

Inni goście zaczęli również pochwałami obsypywać Wicusia, a Wicuś nic nie mówił, tylko spuścił oczki i rumienił się.

To dało powód do nowych pochwał. To ten, to ów brał Wicusia na kolana i chwalił jego skromność, że się ze swego dobrego serca i pięknego postąpienia nie wynosi, ale prawie się wstydzi, że taki uczynny, że tak swoje siostrzyczki i braciszka kocha.

Wicuś milczał, i jak tylko ustało ogólne zajęcie, które jego postępek wywołał, wybiegł z salonu.

Nazajutrz przyszedłem znowu do domu rodziców Wicusia.

Mały filozof, który, zawsze wesoło wybiegał na moje spotkanie, tą razą był jakoś niby zamyślony, niby nieśmiały. Zdawało mi się, że chce zbliżyć się do mnie i coś powiedzieć, ale co zrobi parę kroków, to powraca do stolika, na którym się bawił swem budownictwem.

Zwróciło to moją uwagę.

— Tyś Wicusiu, jakiś dzisiaj nieswój, — rzekłem do niego.

Słowa moje ośmieliły go. Przybył do mnie, usiadł mi na kolanach, i rzekł nachylając mi się do ucha:

— Ja teraz mogę panu powiedzieć, czy Bozia jest we mnie, czy Jéj nie ma.

— A! nie zapomniałeś o tém pytaniu... to dobrze, że się zastanawiasz, Wicusiu, — odpowiedziałem, — no, i jakże ci się zdaje?...

— Mnie się nie zdaje, proszę pana, — odparł myślący chłopczyna, — ja wiem dobrze... ja słyszałem głos Bozi, który do mnie mówił, a więc Bozia jest i we mnie.

Zastanowiła mnie ta odpowiedź.

— Powiedzże mi jak to było, Wicusiu? — zapytałem.

Wicuś zarumienił się jak wisienka.

— Kiedy się wstydzę proszę pana, bo mnie Bozia bardzo, bardzo łajała...

— O!... to tembardziéj przyznać się powinieneś... musiałeś coś złego zrobić, a dzieci ani ze złem ani z dobrém nie powinny się kryć przed starszymi, którzy im są życzliwi, jak ja tobie, mój Wicusiu.

— A więc powiem panu... ale niech pan na mnie nie patrzy.

Byłem ciekawy niezmiernie. Wicuś spuściwszy oczy mówił:

— Widzi pan... wczoraj... jak mi pan przyniósł cukierków... ja dałem Broni, Helci i Jasiowi po pięć... a mnie zostało tylko dwa... Jak to spostrzegłem, to mi się tak smutno zrobiło, żem się mało nie rozpłakał... a tu mama mnie za to chwali, i goście chwalą, i pan mnie ściska... Wstyd mnie było płakać, kiedy mnie tak wszyscy chwalili, więc połykałem łzy... i za to nowe pochwały: „Jaki on skromny!... jak się wstydzi ładnego czynu!“ Wybiegłem z sali i w drugim pokoju

przypatrywałem się swoim dwom cukierkom, a z oczu łezki mi kapały sam nie wiem kiedy... Popłakałem tak trochę, i obtarłem oczy, bo mnie wstyd było... Potem... może w godzinę, kiedym szedł spać.. czułem, że coś we mnie mówiło: „Wicusiu, źle zrobiłeś... chwalili cię wszyscy... a ty nie z dobrego serca, tylko przez pomyłkę dałeś siostrzyczkom i braciszkowi więcéj cukierków, jak tobie samemu zostało... Gdybyś był wiedział, że ci tylko dwa zostaną, byłbyś im dał po cztery i zostałoby ci pięć... Myślałeś że to twoje imieniny, że cukierki tobie były dane, więc powinieneś zjeść więcéj, niż Hela, Bronia i Jaś... Tak myślałeś.. nieprawda?... Więc te pochwały nie należały się tobie, powinieneś był powiedzieć mamie i gościom, że cię nie mają za co chwalić... Nie powiedziałeś tego, więc źle zrobiłeś, Wicusiu.“ Tak wyraźnie coś we mnie mówiło... to nie ja sam mówiłem... jabym się do tego nie przyznał, jabym się z tém schował pod ziemię... ja, gdybym mógł, tobym zakazał temu głosowi, żeby do mnie tak nie mówił, a głos ciągle powtarzał swoje. Moja mama, gdyby wiedziała, że to była tylko pomyłka, toby mi była pewno tak powiedziała, ale mama nic nie wiedziała, nikt na świecie nie wiedział tylko ja... i ten głos... więc to był chyba głos Bozi, która jest wszędzie, a więc i we mnie być musi. Czy nieprawda, panie?...

— Tak jest Wicusiu, — odpowiedziałem ściskając poczciwego chłopczynę. — Bozia jest wszędzie, jest i w nas i mówi nam, gdy źle zrobimy... Słuchaj tego głosu zawsze, a Bozia błogosławić ci będzie, słuchaj tego głosu, bo on niemylny i postępuj podług tego, co on ci powie, a nie zboczysz z drogi cnoty. Nieprawdaż, że ten głos mówi i teraz do ciebie, i że ci powiada, żeś dobrze zrobił, wyznając, że na podwały wczorajsze nie zasłużyłeś?...

— To prawda, panie... zaraz mi się zrobiło jakby lżéj i weseléj, gdy to panu opowiedziałem. Ja zawsze, zawsze tego głosu słuchać będę.

— A wiesz jak się ten głos Bozi nazywa, Wicusiu?...

— Nie wiem, panie.

— Nazywa się Sumienie... on nas zawsze ostrzega, czy źle czy dobrze czynimy i dosyć zważać na niego, aby być poczciwym człowiekiem.

— Jeżeli tak, to nietrudno być poczciwym...

— Nietrudno, gdy się zacznie od młodu słuchać tego głosu i korzystać z jego wskazówek.

Siostrzyczki zawołały Wicusia do ogrodu, odszedł odemnie wesoły, lekki, swobodny, głos wewnętrzny widać go chwalił, że się zwierzył starszemu i dobre powziął postanowienie.

Ciasteczko i nauka.

— „Jasiu! pójdź na ciastko z kawą!“
— „Co na Ciastko?“ hejże, żwawo,
Pędzi Jaś posłuszny mamie,
Mało nóżek nie połamie!

— „Jaś! do książki, już dziesiąta!“
Ale Jaś nie wyjrzy z kąta,
I gdy z miejsca się nie ruszy,
Nauczyciel wziął za uszy.

Oj maleńcy! oj dziateczki!
Wam to dziwne bez wątpienia,
Że chcą, byście do książeczki,
Biegły tak, jak do jedzenia...

Lecz inaczéj nie przystało,
Bo was wcześnie ostrzedz muszę,
Że jak pokarm żywi ciało,
Tak nauka żywi duszę.

Puszcza Kolla,

przez

Józefa Kremera.

Pożegnawszy ostatnie śnieżne turnie Abissynii, onéj Szwajcaryi afrykańskiéj, usłyszawszy po raz ostatni śpiewy jéj rzeskich górali, wędrowiec spuszcza się stokiem zachodnio-północnym ku bezmiernéj puszczy Kolla. Zaledwie zstąpisz do onéj kniei, a już jéj pomroka nocna, niby ciężkie marzenie, otacza się strachami w koło. Ciżba pogmatwana drzew ogromnych i krzaków zasłoniła niebo i ziemię; tu promyk słońca nie zabłądzi. Zielska, ciernie i trzciny olbrzymie pchają się od ziemi, chwytając i dławiąc się nawzajem. Strop lasu, uwity w gęste sklepienie, jakby wiekiem ciężkiém przywala naturę, a powietrze, jak w szklarni gęste, duszne, porące, zatyka dech i niby kamieniem cięży na duszy. Wśród cieniów głębokich kałuże i bagna zepsutéj wody, najeżone plugawém zaroślem, odziane zielonym kożuchem, dyszą jadowitą parą, zarazą i febrą. Często na tych wodach coś pluśnie, strzeli; są to igraszki kąpiących się krokodylów, lub wąż ogromny, co dęba staje i na zwiady modremi oczkami świat w około przeglądają. Tam znów jaszczurka sążnista muśnie po wodzie, lub kłęby szkorpionów się zagmérzą, gdy tymczasem po drzewach swawolą hordy małp złośliwych, i swarzą się roje nieprzeliczone leśnego ptastwa. Przez gęstwinę sunie się to jeleń, to dzik, to szakal zaświeci krwawém okiem w ciemnych krzewach, to znów usłyszysz jakieś szlochy, niby kwilenie płaczącego dziecka, jest to zgłodniała hyena, trupów chciwa: ale w dali gdzieś lew zagrzmiał wołając na lwicę — i wszystko ucichło. Niekiedy znagła słyszéć trzaski i łomot roztrąconych i łamanych konarów wywracających się drzew; stado słoniów lub rozhukanych nosorożców toruje sobie gościniec przez puszczę. Gdzieindziéj znów hurma dzikich bawołów rozjuszonych cwałem na oślep rzuca się gęstwiną, a za niemi suwa w pogoń wściekły ród lampartów, lub skoczna tygrysów zgraja. Ze strachem pierzchają szakale i hyeny, oniemiały małpy i ptaki, bo w głębi kniei już słychać niby grzmot głuchy, wycie i ryk i charkanie; — złowrogie drapieżcy dopędziły łupu swojego, a bój i mord się rozpoczął. A zdala szarzą się kłęby dymów, rozigrał się wicher, w puszczy gore, trzciny, drzewa i zarośle objęte ogniem, płomień syczy, wije się po ziemi wężem, lub słupem stawa. Słychać i głos niby ludzki. Niebawem zoczysz jakby mrowisko krzątających się, płaskonosych Negrów o zapuchłych wargach, o kędzierzawych szorstkich włosach; oni gotują sobie plac na budowle swoje, wypalając w koło zarośla i trzciny. Ze zwinnością małpią zawieszają się na drzewach, przechylają ich konary, wiążą je z sobą, splatają, i w chwili złożą strzechę potężną i nieprzebytą; tu i ówdzie podpiérają ją ściętém drzewem młodém, niby kolumną, i na nich rozwieszają, jakby pokrowce i makaty, skóry zabitych zwierząt, a tak strop i ściany domu gotowe; w każdym roje ich mieszka. Wnet tak całe miasto staje. To są ich pałace letnie. Dzień i noc bije płomieniem ogień na odstraszenie zwierza dzikiego. Rybołowczy i myśliwczy ród nie zna rolnictwa, ani ptastwa nawet. Gdy zaś deszcze zwrotnikowe na puszcze spadną, gdy niemi wzdęte potoki z gór Abissyńskich las zaleją, gdy całe puszcze zamienią się na bagno niezmierne, Negry opuszczają to miasto swoje i chronią się do samotnych gór, kędy sterczą strome ściany skał niedosięgłych.

DZIEJE POLSKI

wierszem opowiedziane.

(ciąg dalszy.)

Jakżeś synu mój bogaty,
Jak rozległa twa dziedzina!
Od Baltyku się poczyna,
A opiera o Karpaty!

Z jednéj strony twéj granicy,
Strzegł Chrobrego miecz ze stali:
Z drugiéj stały na strażnicy
Słupy, bite w Odrze, w Sali.

Gdzie piasczyste Dniepru łoże,
Miecz twój tłumił bunt zuchwały:
A gdzie Czarne świeci morze,
Lotne czajki pomykały.

Znają, znają najezdniki,
Miecz szczerbiony w tym narodzie!
Drżał Moskwicin przed nim dziki,
I Padyszach w Carogrodzie.

A choć z czynów takiéj treści,
Łzy zostały i cierpienie:
Miejmy ufność! — bo z boleści,
Naród idzie w odkupienie.

* * *

Choć dziedzinę twą odwieczną,
Podzielono na trzy szmaty:
Stłum w oczętach łzę serdeczną,
Jeszcześ synu dość bogaty!

Patrz, twa ziemia cała w bieli,
Od pszenicy srebrnych kłosów,
Z których czasem kwiat wystrzeli,
Jak gwiazdeczka śród niebiosów.

Tutaj szumi młyn z turkotem,
Tam wioskowe widno strzechy,
I omszały krzyż pod płotem,
Źródło wiary i pociechy.

Daléj bujne łany żyta,
Owdzie łączki płat pod lasem....
A błoń cała upowita
Srebrną strugą — niby pasem!

O kto taki kraj posiada,
Takich skarbów zasób mnogi:
Niech nie jęczy, niech nie biada,
Że tak bardzo jest ubogi!

Lecz niech ziemię, co mu daje
Bogactw tyle, z łaski Bożéj,
W czarne skiby pługiem kraje,
I ojczyste skarby mnoży!

Niechaj się jéj nie wyrzeka,
Niech ją strzeże jak najbardziéj:
O! bo klątwa tego czeka,
Co ojczystym krajem gardzi!

(ciąg dalszy nastąpi.)

Legenda o jaskółkach.

Jak wiadomo, pierwsi nasi rodzice osadzeni przez Stwórcę w rozkosznym ogrodzie, w którym nieustannie panowała ciepła i pogodna pora roku, żyli szczęśliwie i bez troski o jutro. Ale gdy się okazali swemu Stwórcy i dobroczyńcy nieposłusznymi i niewdzięcznymi, wypędził ich Bóg z raju. Nieszczęśliwi wygnańcy podróżowali po okolicach, w których trapiła ich niepogoda i brak żywności. Nie chcąc tedy umrzeć z głodu, jęli pracować w pocie czoła, lecz rola wydawała im same chwasty i głogi. Cierpieli téż bardzo, a troski trapiły ich od rana do wieczora.

Stan ten trwał bardzo długo, aż wreszcie Bóg w swéj nieprzebranéj dobroci, wyrzekł słowo przebaczenia. Do raju nie chciał już wprowadzać ludzi, postanowił im jednak wrócić piękną i pogodną porę i sprawić, aby nieurodzajna dotąd ziemia pokryła się bujną roślinnością. Mogli więc znów żyć bez bó-

lów i kłopotów, a za te wszystkie dobrodziejstwa mieli być tylko posłusznymi Stwórcy. Chcąc ich o tém uwiadomić, stworzył Pan Bóg dwa ptaszki, mające piórka bielsze od śniegu. Podczas gdy one próbując skrzydełek ulatywały około bożego tronu, wyciągnął Najwyższy obie ręce, a gdy na nich usiadły ptaszki, w te do nich odezwał się słowa:

— Stworzyłem was, moje jaskółki (tak się nazywać będziecie), abyście wraz z całém potomstwem waszém stały się ptaszkami mego błogosławieństwa. Posyłam was na ziemię, karaną obecnie różnemi klęskami, a to w tym celu, by razem z wami zawitał tam klimat łagodny, dozwalający rodzić się kwiatom i dojrzewać owocom Zamieszkacie pomiędzy ludźmi i przylepicie gniazdeczka do strzech ludzkich, a biała barwa piórek waszych i gniazdeczka wasze będą dla ludzi znakiem przebaczenia mojego. A teraz z błogosławieństwem mojém odlećcie, jaskółki!

Bieluchne ptaszki, posłuszne rozkazowi Boga, odleciały na ziemię, podążając za jasnym słońca promieniem. Wraz z niemi zawitało szczęście na padoł płaczu i nędzy: powietrze się ociepliło, pola okryły się zielenią i kwieciem, a na drzewach widać już było bujne owoców zawiązki. Białe ptaszki ulepiły sobie gniazda pod strzechami, i zaraz też opuściły ludzi choroby, nie dręczyła ich troska o jutro, a pracowali już tylko, ażeby się nie nudzić.

Uszczęśliwiony tem rodzaj ludzki, błogosławił Bogu i ptaszkom, a one bez obawy gnieździły się w domach i wychowywały tam spokojnie swe dzieci. Lecz po niejakim czasie zapomnieli ludzie jak wielką miłość i wdzięczność winni Bogu i zesłanym przez niego jaskółkom. Rozrzucili gniazdeczka dwóch małych ptaszków i śmiali się z téj psoty, a gdy jaskółki poupadały, powyrywali im piórka z trwogi, aby ich nie opuściły i nie powróciły do nieba. Ale zamiast puszystych piórek, poczuli w dłoniach zimne i wilgotne płatki, mrożące im twarz i ręce. Przestraszeni tém zjawiskiem, poprzestali zbrodniczego czynu, lecz białe płatki, mnożąc się nieustannie, spadały gęstemi płachtami tak iż wkrótce cała ziemia, jakby białym pokryła się całunem. I w téjże saméj chwili zaszarzało się niebo sinemi obłokami, znikła zieloność łąk i barwa kwiatów polnych, a owoce z drzew pospadały. Zawiał przeraźliwy wicher, a ludzie poczęli drzeć pod jego powiewem.

Gdy zbrodniarze klęcząc obok dwóch zabitych ptaszków, modlili się, płakali i bili w piersi, prosząc o przebaczenie, promień słońca, przebijając gęste chmur zasłony, ukazał się nad gniazdkami innych jaskółek i głos taki zabrzmiał z niego:

— Ptaszki mojego błogosławieństwa powróćcie do nieba!

Jaskółki rozpostarły skrzydełka, ulatując na znikającym wraz z niemi promieniu słonecznym. Wróciwszy do nieba, jęły miłosiernie błagać Boga, aby się zlitował nad pokutującymi ludźmi. Pan Bóg odpowiedział proszącym:

— Ptaszki mojego błogosławieństwa, zmiłuję się nad ludźmi, nie przebaczę im jednak zupełnie, boby wkrótce zapomnieli o winnéj dla mnie miłości. Powróćcie na ziemię, a z waszém przybyciem niech się powietrze stanie pięknem i pogodném — lecz na pamiątkę boleści, jaką wam złośliwość ludzka sprawiła, część piórek waszych zostanie czarną. Znak ten będzie ostrzeżeniem dla ludzi, że nieszczęście grozi niszczycielom gniazdek jaskółczych. I znowu na ziemi lepić sobie będziecie gniazdeczka pod strzechami domów ludzkich, i na domy te spuszczę błogosławieństwo moje.

Odtąd też ludzie rok rocznie z niecierpliwością oczekują powrotu jaskółek, ochraniają ich gniazdka, bo przybycie tych ptaszków, zwiastuje najpiękniejszą porę roku — wiosnę.

Nowe Książki.

Dajemy wam, kochane dzieci, spis najlepszych elementarzów, a to dla tego, abyście wiedziały, z jakich książek uczyć młodsze rodzeństwo. Każdy człowiek powinien pracować dla dobra innych, i wy moje dziatki winnyście nawykać do tego, i wdrażać się powoli do obowiązków, jakie was późniéj czekają. Młodsze wasze rodzeństwo, nieraz z ciekawością przysłuchuje się ładnym bajeczkom, które im z książek czytacie, a ciekawiéj stokroć przygląda się literkom w książce, które dla nich są jeszcze zagadką. Rozwiązać im tę zagadkę, w waszéj jest mocy, drogie dzieci, a pewny jestem, że was za to i rodzice pochwalą i rodzeństwo uciska serdecznie.

* * *

A. B. C., pierwsza nauka dla dzieci, wydana przez pana Anczyca, zaleca się nader przystępną treścią i ozdobném wydaniem. Oprócz nauki sylabizowania i wprawy w czytanie, znajdują się w niéj bardzo ładne wierszyki, bajeczki i powiastki, — a wszystko to przeplatane licznemi obrazkami, ołówka pana Gersona. Cena téj książeczki w oprawie 12 sbr.

* * *

Elementarz Stanisława Jachowicza, o którym pisałem wam w przeszłym numerze „Promyka" — co do układu jest nieco odmiennym od książki pana Anczyca, lecz również bardzo starannie i ozdobnie wydany. Na każdą literkę, jest obrazek i cztery wiersze, których dzieci uczyć się mogą na pamięć. W każdym wierszyku zawarta jest moralna nauka, korzystnie wpłynąć mogąca na serduszka dzieci. Na przykład, do obrazka przedstawiającego zimę, jest czterowiersz następujący:

Chłopcy kulają śnieżkę po śniegu,
Ta coraz bardziéj zwiększa się w biegu,
Aż w końcu wielką bryłą się stała:
Ogromy tworzy praca wytrwała.

* * *

Jak już rodzeństwo wasze pozna dokładnie literki, nauczy się sylabizować i czytać po trosze, poproście mamy lub taty, aby kupili Splotek powieści, wydany niedawno w Warszawie z bardzo pięknemi kolorowanemi obrazkami, które braciszkowie i siostrzyczki wasze z ciekawością będą przeglądać. Ale powiedźcie im, że tak ładną książeczkę, tylko za pilną naukę dostać można. A gdy ją do rąk dostaną, ostrzeżcie ich, aby się ostrożnie z nią obchodzili, bo to książeczka droga, kosztuje bowiem $22\frac{1}{2}$ sbr.

* * *

I dla was moi przyjaciele, którzy czytacie „Promyk", mam dwie bardzo ładne książeczki do polecenia. Jedną z nich jest Historya Polska ułożona przez pytania i odpowiedzi, drugą, ciekawa i śliczna powiastka, opisująca przygody dzieci Zagrzebanych w śniegu. Ostatnią książkę zdobią liczne obrazki, i wydanie staranne.

* * *

Na dziś, zamykamy temi pięciu dziełkami, nasz przegląd książek dla dzieci, nadmieniając, że wszystkie wyż wyszczególnione wydawnictwa są do nabycia u pp. J. K. Żupańskiego lub u M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu. B.

OD REDAKCYI.

„Promyk" abonować można w Poznaniu w księgarniach pp. J. K. Żupańskiego, M. Leitgebra i Sp., F. H. Richtera, L. Merzbacha, J. N. Kamińskiego; w Krakowie u J. Czecha; we Lwowie u Gubrynowicza i Schmitta, — jak również na wszystkich urzędach pocztowych związku północno-niemieckiego, gdzie „Promyk" zapisany jest na dziewiątym arkuszu cennika gazet str. 41. Nr. 37b.

Wydawca W. Bełza.— Redaktor odpowiedzialny W. Małecki. — Drukiem L. Merzbacha w Poznaniu